ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 2 grudnia 1922 roku. № 48.

Jack London. tł. Haliny Evert.

Semper Idem.

Doktór Bicknell był w wyjątkowo dobrym humorze. Przez drobny wypadek, raczej cień niedbalstwa, pacjent, który mógłby był wyzdrowieć, umarł poprzedniej nocy. Aczkolwiek był to zwykły marynarz, jeden z tej niezliczonej brudnej zgrai,—intendent szpitala niepokoił się przez całe rano. Martwiła go nie śmierć pacjenta — znał na to doktora zbyt dobrze, — ale fakt, że operacja powiodła się tak nadspodziewanie. Jedna z najdelikatniejszych w chirurgji, była o tyle udatną, o ile śmiałą; dalsze losy chorego zależały od opieki, staranności intendanta i sióstr. A pacjent umarł. Drobny wypadek, cień niedbalstwa — jednak dosyć, aby ściągnąć profesjonalny gniew doktora na głowę całego szpitalnego personelu, zatruwając mu życie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Lecz, jak zaznaczono wyżej, doktór Bicknell był w wyjątkowo dobrym humorze. Gdy, drżący ze strachu intendant doniósł mu o nagłej śmierci marynarza, doktór wybąkał zaledwie parę krótkich przekleństw, a i te zamarły mu szybko na ustach, przerwane pytaniem o stan innego, starszego pacjenta. Intendant, przekonany, że treść raportu wymknęła się uwadze doktora, gowtórzył go.

— Tak, tak — niecierpliwie uciął doktór Bicknell — zrozumiałem. Ale co słychać z Semper Idem? Czy przygotowuje się do opuszczenia szpitala?

— Tak jest. Ubiera się już — odparł intendant, powracając do swych obowiązkow, uszczęśliwiony, że spokój panuje nadal wśród nasiąkniętych jodyną ścian szpitala.

Wyzdrowienie Semper Idem'a wynagradzało dr. Bicknell stratę marynarza. Śmierć była dlań niczem; jedną z nieprzyjemnych, wszakże nieuniknionych właściwości jego zawodu. Wypadki, ach, wypadki, były wszystkiem. Znajomi nazywali go rzeźnikiem, lecz jego koledzy zgadzali się jednogłośnie, iż medycyna nie posiada śmielszego, a zarazem zdolniejszego odeń chirurga. Nie był człowiekiem o bujnej wyobraźni, nie podlegał wzruszeniom, a przez to nie rozumiał ich. Ludzie byli dlań osobnikami, pozbawionymi indywidualizmu lub osobistej wartości. Inaczej rzecz się miała z wypadkami. Im bardziej połamanym był człowiek, im bliższym śmierci —tem większego znaczenia nabierał w oczach dr. Bicknella. Jak dziecko przekłada cyrk nad wystawę wstrząsającego dramatu, tak i on byłby z rozkoszą zamienił osławionego poetę, dotkniętego pospolitem cierpieniem, na bezimiennego, obdartego przybłędę, który, wymykając się śmierci, drwił ze wszystkich praw natury.

Tak się rzecz miała i z Semper Idem. Doktora nie zajęła ani tajemnica tego człowieka, ani dziwny jego romans, o którym reporterzy pisali tak sensacyjnie, a tak kłamliwie, w rozmaitych niedzielnych wydaniach. Semper Idem poderżnął sobie gardło. To było najważniejsze. To jedno zatrzymało uwagę doktora. Poderżnął je sobie od ucha do ucha, i na tysiące chirurgów nie znalazło się ani jednego, któryby wierzył w możliwość uzdrowienia. Dzięki sprawności miejskiego ambulansu i talentowi doktora Bicknella, samobójcę powrócono życiu, które tak pragnął opuścić. Asystenci doktora pokiwali głowami, gdy przywieziono rannego. „Zgubiony" — orzekli. Szyja, tchawica, wszystko było przecięte a utrata krwi straszna. Ale właśnie dlatego, że była to zupełnie stracona sprawa, doktór Bicknell użył sposobów i dokonał rzeczy, przed któremi pochylili głowy najwybitniejsi fachowcy. I pacjent wyzdrowiał.

I tak więc tego rana, gdy Semper Idem, uleczony, miał opuścić szpital, doktór, niezbyt dotknięty raportem intendanta, zabrał się wesoło do składania chaotycznie zmieszanych kości dziecka, zgniecionego kołem tramwaju.

Jak wiele osób pamięta, wypadek Semper Idem wywołał dużo niezdrowej, a jednak całkiem naturalnej ciekawości. Samobójcę znaleziono w nędznem mieszkaniu; szyję miał potwornie rozciętą, a krew, spływająca strugami, przesiąkła przez podłogę, zraszając głowy mieszkańców niższego piętra i zakłócając ich wesoły bankiet. Semper Idem dokonał samobójstwa w pozycji stojącej, mając głowę nieco nachyloną naprzód, tak aby ostatnie jego spojrzenie mogło upaść na fotografję, umieszczoną na stole, a opartą o lichtarz. Ta właśnie stojąca pozycja umożliwiła doktorowi Bicknell ratunek samobójcy. Cięcie brzytwy było tak okropne, że gdyby był odrzucił głowę wtył, tak jak powinien to był zrobić, aby się śmiertelnie zranić, to, wyprężywszy szyję i wyciągnąwszy komórki waskularne, byłby się bezwątpienia pozbawił głowy.

W szpitalu przez cały czas, gdy odbywał tak mu nienawistną powrotną drogę ku życiu, ani jedno słowo nie wyszło z jego ust. Szef policji nie zdołał zeń wydobyć najbłahszego wyznania. Nikt go nie znał, nikt go dotychczas nie widział, ani słyszał o nim. Należał wyłącznie i jedynie do teraźniejszości. Wnosząc z ubrania i warunków życia, był członkiem niższych sfer robotniczych, ale ręce jego zdradzały gentlemana. Nie znaleziono przy nim nic, coby mogło dać pojęcie o jego przeszłości, lub obecnem położeniu, ani jednego kawałka papieru, żadnego listu, nic, prócz jednego drobiazgu.

Drobiazgiem tym była fotografja. Jeżeli istniało podobieństwo między nią a oryginałem, to kobieta, spoglądająca jasno z pocztówki, musiała być rzeczywiście niezwykłem

stworzeniem. Było to amatorskie zdjęcie i detektywi czuli się mocno zawiedzeni, ponieważ nie znaleźli ani podpisu fotografa, ani adresu zakładu. Na jednym z rogów karty widniało te kilka słów, skreślonych delikatnem, kobiecem pismem: „Semper idem, semper fidelis".*) Wyglądała na to. Była to twarz, której się nigdy nie mogło zapomnieć. Wszystkie gazety umieściły na swych szpaltach głębokie domyślniki, nadzwyczaj do siebie wzajem podobne, ale rezultatem tego była jedynie podniecona ciekawość ogółu i nieskończone pole popisu dla dziennikarzy, piszących od wiersza.

W braku lepszego imienia świat i szpital ochrzcił wskrzeszonego samobójcę mianem Semper Idem. I Semper Idem'em pozostał. Reporterzy, detektywi, siostry miłosierdzia, — zrozpaczeni, — dali mu wreszcie spokój. Nie można go było namówić do wydania jednego dźwięku; jednak bystry, żywy blask jego oczu dowodził, że uszy jego chwytały, a umysł pojmował każde pytanie.

Ani tajemnica, ani miłość nie zajmowały doktora Bicknella. Zeszedł był właśnie do kancelarji pożegnać się ze swoim pacjentem. Jako lekarz dokonał cudu, zrobił coś dotychczas niewidzianego w rocznikach chirurgji. Nie zastanawiał się ani chwili, czem lub kim był jego pacjent, i było prawie nieprawdopodobnem, aby się mógł z nim kiedykolwiek w życiu spotkać. Pragnął po raz ostatni rzucić okiem na dzieło swych rąk i umysłu, tak jak artysta spogląda na skończony twór.

Semper Idem pozostawał niemym. Zdawało się, że pragnął jaknajprędzej odejść. Ani jednego słowa nie mógł zeń doktór wydobyć, i, coprawda, niebardzo też o to się starał. Uważnie obejrzał szyję pacjenta, zatrzymując z ojcowską niemal pieszczotą palce na ohydnej bliźnie. Nie sprawiała ona miłego wrażenia. Ostra linja, nakształt pręgi z tylko co oberwanego stryczka, ginąc za prawem i lewem uchem, zdawała się ognistem kołem obejmować całą szyję.

Pogrążony w upartem milczeniu, poddając się badaniu z niechęcią złapanego zwierzęcia, Semper Idem zdradzał jedynie życzenie ukrycia się przed ludzkiem okiem.

— „Nie będę pana zatrzymywał" — rzekł wreszcie doktór Bicknell, kładąc rękę na ramieniu pacjenta i spoglądając po raz ostatni na swoje dzieło — ale pozwolę sobie udzielić panu małej rady. Na przyszły raz niech pan podniesie brodę do góry—w ten sposób. Nie należy jej pochylać i zarzynać siebie jak krowę. Szybkość i staranność! przedewszystkiem szybkość i staranność"!

Oczy Semper Idem błysnęły na znak, że słyszał, a w chwilę potem drzwi szpitalne zamknęły się za nim.

Był to pracowity dzień dla doktora Bicknella i minęło już dawno południe, gdy, zapaliwszy cygaro, przygotowywał się do opuszczenia operacyjnej sali, do której chorzy zdawali się wprost dobijać. Ostatni z nich, stary gałganiarz ze strzaskanym obojczykiem, został już opatrzony i pierwsze kółka dymu poczęły się unosić nad głową doktora, gdy przez otwarte okno doleciał pospieszny dzwonek ambulansu i, w chwilę potem, ukazały się nosze ze smutnym ciężarem.

— Połóżcie go na stole — rozkazał doktór, odwracając się jednocześnie, by gdzieś złożyć cygaro — cóż to za wypadek?

— Samobójstwo, poderżnięte gardło — odparł jeden z posługaczy — na Morgan Alley. Zdaje się, że stan beznadziejny. Już dogorywa.

— No, obejrzę go w każdym razie. — Doktór pochylił się nad umierającym w chwili, gdy ostatnie konwulsje wstrząsnęły jego ciałem.

— To Semper Idem wrócił — zauważył intendant.

— I znów odszedł — odparł doktór Bicknell. — Żadnej rady tym razem. Porządnie to zrobił, słowo daję, porządnie. Poszedł dosłownie za moją radą. Weźcie go do kostnicy, ja tu już nie jestem potrzebny.

Poszukał swego cygara i powtórnie je zapalił. Poczem puszczając kółka dymu i spoglądając na intendanta, rzekł: „To się równa pańskiemu nieboszczykowi z zeszłej nocy. Skwitowaliśmy się".

*) „Zawsze jednaka, zawsze wierna" przyp. sł.

HANNA ZAHORSKA (SAVITRI).

Biała miłość.

I.

W okolu gwarnych miast
Samotny zamek twój...
W ogrodzie wśród róż i tuj
Schylony, pielę chwast.

Ty z komnat nadchodzisz głębi,
Schodzisz po stopniach z marmuru,
Stąpasz po kobiercu ze Smyrny,
Po zawiłym, w arabeski kobiercu —
(Krok każdy echowi się w sercu) —
Idziesz dalsza, niż najlodowsze Alp firny...
Od ciebie smugi złote, słoneczne
Niewidne suną, niby ręce na ratunek,
Po nich czuję zbliżenie, kierunek.
Idziesz... Tak mi pusto, bezdomnie...
Zaraz spuszczą, zaraz spuszczą czarną zaworę...
Może uśmiechniesz się do mnie,
Może nie zauważysz...
(Tak tłucze się serce chore,
Chwil nieodłączny towarzysz).

II.

Mówiłeś, żeś widział w ogrodzie
Snieżystych, wiosennych drzew szpaler,
Że stały zciszone w pogodzie,
Jak żagle od galer.
I była ich woń rzeźwa, czysta,
Jak naszej miłości aromat.
Jak cicha tęsknota wieczysta
Wśród gwarnych, głębiących się gromad.
I niema już ciebie. Lecz przy mnie
Jest gałąź zroszona i wonna,
I wieje w ros zimnie
Tęsknota dozgonna, dozgonna.

Wartości twórcze religijnej myśli polskiej.

Nowa książka Jadwigi Marcinowskiej.

Na różne sposoby pragnie się u nas podnieść czy pogłębić nurt życia indywidualnego czy zbiorowego. Na różne sposoby usiłuje się umocnić podstawy bytu naszej Rzeczypospolitej. Są tacy, co przez samowystarczalność gospodarczą chcą osiągnąć ład w naszem życiu zbiorowem. Są i tacy, co przez pogłębienie nurtów ideowych a w pierwszym rzędzie religijnych próbują rozszerzyć władanie dobra i mocy. P. Jadwiga Marcinowska należy właśnie do grupy tych pracowników, zapatrzonych w ideał moralny i pragnie przez pogłębienie życia religijnego wysunąć Polskę na czoło ludów świata. Już mesjanistom naszym marzyło się, iż Polska winną być Chrystusem ludów. P. Marcinowska chciałaby kontynuować tę szlachetną tradycję wierzenia w posłannictwo naszego narodu. Po wojnie wszystkie ludy znalazły się w obliczu wielkiej przemiany. P. Marcinowska uważa, iż przeżywamy bezwarunkowo to, co się nazywa „kruszeniem posad starego świata i świtem nowej ery". „Interesem ludzkości jest, aby przemiana była jak najpełniejsza, aby z wylanego dzisiaj potopu krwi i morza cierpień wszelakich wyłoniła się doba naprawdę jasna, wstało życie dające zaspokojenie wszystkim potrzebom narodu i człowieka".

Wiara w wolę ludzką i twórczą władność jednostki jest przytem podstawą tego sposobu rozumowania. P. Marcinowska mówi: „Życie, którego nie możemy kształtować, dostrajać i doskonalić, pozostaje dla nas formułą oderwaną i daleką, albo też fatalnością, która przygniata i dławi". Należy wybrać drogę bytowania. Dogmatyzm już się, podobno, przeżył. Rola obserwowania li tylko zjawisk jest również niewystarczająca, gdyż człowiek przeznaczony jest na „współtwórcę" swego losu. P. Marcinowska szuka więc w spuściznie ideowej kultur i ras punktu wyjścia dla naszej współczesności. Napisała ona pouczającą książkę p. t. „Wartości twórcze religijnej myśli polskiej". Etapy analiz i poszukiwań religijno-ideowych zamyka autorka w następujące rozdziały: „Filozofja indyjska", „Chrześcijaństwo", „Polska", „Hoene-Wroński", „Słowacki", „Mickiewicz", „Trentowski", „Cieszkowski", „Krasiński" oraz „Libelt".

„Filozofja indyjska", aczkolwiek posiada głęboką myśl przewodnią, jest dla nas niewystarczająca. Przedziwna mądrość jest w słowach:

„Ja daję ci tę wiedzę, ale jej nie pojmujesz: ten Atman jest w milczeniu". P. Marcinowska idzie więc do źródeł chrześcijanizmu. Mówi ona; „Chrześcijaństwo prawdziwe jako realizacja w życiu stosunku człowieka do Boga stanowi istotne dopełnienie Zakonu". Chodzi jej przytem o rzecz niezwykłą, pomijaną przez ludy, będące w nieustannej, krwawej walce. Chciałaby stworzyć królestwo pokoju na ziemi. Na to trzeba przekształcić dusze pojedyńczych ludzi i dusze zbiorowisk. P. Marcinowska wierząco dowodzi i przekonywa: „Do ucieleśnienia tej idei nie wystarcza teoretyczne nakazywanie miłości bliźniego, formy współżycia muszą się stać tej miłości wyrazem; a zatem to współżycie powinno być przetworzonem, narodzić się muszą nowe formy".

Swietlana jasność tego odwiecznego poglądu jest nawróceniem do prawd ewangelicznych, uznawanych przez wszystkich, a nie wypełnianych przez wielu. Dlatego też uważa autorka, iż „dopokąd religja nie stanie się dla każdego działającego Polaka: polityka, społecznika, wychowawcy, sprawą osobiście podstawową i dziedziną konieczną, w której trzeba zanurzyć, zbadać i osadzić własną duszę i pobudki wszelkich poczynań, dopóty wielkie i naglące zadanie odrodzenia narodowego ślizgać się u nas będzie li tylko po powierzchni życia".

Rozumie się, iż kwestja narodowości jest również mocno brana pod uwagę przez p. Marcinowską. Na pierwiastek ten kładzie ona duży nacisk. I słusznie. Gdyż „odrodzenie narodowe a z niem i przez nie utrwalenie naszego niepodległego bytu nie nastąpi wpierw, aż znajdziemy w sobie, poznamy i stwierdzimy swego polskiego ducha". Droga przez duchy przewodnie naszej kultury, jak Słowacki, Mickiewicz, Trentowski, Krasiński, jest jedyną wskazówką przewodnią.

Ten powrót do źródeł polskości i religijności jest arcymiły dla każdego świadomego Polaka. Na tłach tych mogą się spotkać nawet ludzie wykluczających się przekonań. W zetknięciu bowiem ze słowem naszem, jak i z ziemią w każdej polskiej duszy rosną dopiero i potężnieją możliwości twórcze. Dlatego aczkolwiek piękna jest myśl indyjska z jej wtajemniczeniami — droższą dla nas staje się filozofja mesjanizmu Cieszkowskiego, Libelta lub Hoene-Wrońskiego. W filozofji tej pokutuje prometejski wysiłek twórczy wydobycia znękanej Ojczyzny z opresji wrogów.

P. Marcinowska rozdziały o filozofji indyjskiej w książce swojej napisała z polotem, poetycznie, a jednak umiała odnaleźć i punkt krytycznego oparcia w tej modnej dziś i nieustannie kolportowanej doktrynie. Filozofję indyjską poznała ona na miejscu w Indjach. Pojęcia przeto tej filozofji kojarzą się w jej wyobraźni z obrazami przeżyć, wspomnieniami pejzażu, wzruszeniami wzrokowemi i słuchowemi. Tworzy to wdzięczny, organiczny splot ideologiczny, w którym czytelnik chętnie przebywa.

Interesujący typ wtajemniczenia, tak zwanego „Sanjasa" przytacza w książce swojej p. Marcinowska. Pisze ona: „Istniało jeszcze czwarte stadjum, ale już nie obowiązujące dla każdego z „Dwidżów" a mianowicie „Sanjasa", co oznacza „odrzucenie wszystkiego". Rytuał tej kategorji „wtajemniczonych mędrców" między innemi polega na tem, iż... pewna liczba Sanjasów nazwanych „Dandi", od noszonej symbolicznie laski „Danda", ma prawo laską ową potrącać posągi bóstw w obliczu tłumu wyznawców, ścielących się przed temi bóstwami czołem na ziemi". Dla nich już nie istnieją posągi. Wyzwolili się z materji. Mogą czcić samego ducha. Jest to jednak najwyższy, mało dostępny stopień uświadomienia religijno-moralnego. Hindusi dla ludzi tych znaleźli hierarchję i stworzyli nawet prawo... potrącania bóstw.

U nas to prawo niestety należy do osób stojących na odwrotnym szczeblu kultury. Za laskę tę chwycili przecież wyznawcy Lenina.

Dr. Z. M.

Ludwik Dumur. Powieść.

RZEŹNIK VERDUNU.

7)

Wolny przekład z francuskiego przez H. J. P.

— Narażasz się na pewną śmierć! — wymówił stary Lormeau.

— Wiem o tem. Poniosę ją chętnie.

— Oh! to straszne! To straszne! — jęczała pani Lormeau, łamiąc ręce.

— Nie! Nie! — odparła Julinka. Zadużo już krwi popłynęło; zadużo mamy żałoby, zadużo łez wylanych, zadużo zgliszcz, zadużo shańbionych kobiet, zadużo zbrodni.

— Niestety! moje dziecko — rzekł pan Lormeau. — Gdyby twój czyn mógł położyć koniec wojnie. Ale on się na nic nie przyda. Gdy zgładzisz tego człowieka, wojna w dalszym ciągu trwać będzie równie okrutna, równie potworna, jak dotąd. Na miejsce jednego bandyty przyjdzie drugi.

W tej chwili poprzez koronkową storę, zasłaniającą okno, dostrzegłem ściętą i wydłużoną, jak pysk hjeny, twarz Klejna. Twarz ta znikała i ukazywała się naprzemiany i zrozumiałem, że gdy nikła, ucho przykładało się do futryny. Zdjął mnie paniczny strach.

— Zapewne — rzekła Julinka z jakąś skupioną egzaltacją — i nie pochlebiam sobie, żeby mój czyn zmienił w czemkolwiek dalszy ciąg wojny. Mimo to, dokonam go. Gdyby wszystkie kobiety Francji, gdyby wszyscy mężczyźni Francji powiedzieli sobie: „Zgładzę chociaż jednego, mniejsza z tem gdzie, mniejsza z tem kiedy, gdyby każde z nich poprzysięgnęło to sobie tak, jak ja sobie poprzysięgłam, wtedy miało by to może jakieś znaczenie. Ale, choćbym miała być zabitą sama, zabiję Niemca... I wybrałam go sobie; mam go... Zgładzę niemieckiego Kronprintza, ot tem!

Z fałdów płaszcza wydobyła mój rewolwer i błysnęła nim w powietrzu.

W tej samej chwili dał się słyszeć odgłos kroków w głębi domu.

Państwo Lormeau i Julinka popatrzeli na siebie z niepokojem, poczem stary Lormeau poszedł zwolna otworzyć drzwi, wychodzące na sień.

Do pokoju wszedł jakiś człowiek obrośnięty, w obszarpanym płaszczu i w czapce wieśniaczej na zmierzwionych włosach. Wydało mi się, żem go już widział, kiedy przedzierałem się przez zarośla nadrzeczne. Krążył koło domu i teraz zrozumiałem, że to na niego Klein ze swoimi ludźmi urządzili obławę.

Człowiek ów skłonił się po wojskowemu i rzekł:

— Dobrywieczór całemu towarzystwu.

— Kto pan jesteś? — zapytał pan Lormeau wystraszonym głosem.

— Niema tu żadnego pana. Jestem Jan Coquard, uciekłem z niewoli, z obozu Wittenberga, gdzie byłem razem z waszym synem, wachmistrzem Piotrem Lormeau. Przychodzę od niego.

— Boże mój! Znacie naszego syna! — wykrzyknęła pani Lormeau, składając ręce. — Co się z nim dzieje? Jak się miewa?

Zbieg obejrzał się podejrzliwie.

— A nie może tu kto podsłuchać?

— Nie! Nie! Okna tego pokoju wychodzą na ogród, a w domu niema nikogo. Ale mówcie, mówcie, na Boga!

— Ano, to było tak. Trzeba wam wiedzieć naprzód, moi państwo, że w tych obozach to życie jest pieskie. Głodzą, męczą, pędzają do najcięższych robót; zarażają człowieka swemi paskudnemi chorobami: żółtaczką, tyfusem i jeszcze czem gorszem. Jednem słowem, istne piekło. To też kilku z nas, a pomiędzy nami wachmistrz Piotr Lormeau...

— Piotr! — wybełkotała pani Lormeau, zdając się wisieć całem swem jestestwem na ustach opowiadającego.

— Tak; to był zuch, jak się patrzy, i on to wszystko wykalkulował, bo postanowiliśmy uciec. Udało nam się świsnąć dwa rewolwery, parę nożyc do przecinania drutów i tylko czekaliśmy sposobności, gdy trach! cały kram wyszedł na jaw. Aresztują tedy Piotra Lormeau, u którego znaleziono rewolwery, i dalej go pod pręgierz, aby wydał wspólników. Ale on, zacna dusza, jak się zaciął, tak ani mrumru. Trzymali go tak trzy dni i trzy noce, bez chleba i wody, skrępowanego, że mu się powrozy wrzynały w ciało, i jeszcze go płazowali szablą po głowie, obwiesie!

— Oo! oo! — zawyła prawie pani Lormeau, podczas gdy stary Lormeau zaciskał pięści, a Julinka drżała na całem ciele.

— Tak tedy, nie mogąc tego znieść dłużej, poszliśmy do komendanta obozu i powiadamy mu, jak i co, żeby go puścili. Zaraz nas dziesięciu żołnierzy schwyciło, ale wachmistrza nie puścili. To jest odwiązali go z pręgierza, żeby rozporządził swoją chudobą, wyspowiadał się i pożegnał z nami. A potem zaprowadzili go na cmentarz obozowy i tam go rozstrzelali.

Pani Lormeau padła na kolana, powtarzając wśród spazmatycznych łkań:

— Piotr!.. Piotruś mój!.. Moje dziecko.

Stary Lormeau, jak ogłupiony, powtórzył:

— Rozstrzelali go!

Na co zbiegły Coquard zauważył spokojnie:

— Takie to bestje, te Niemczury!

Poczem dobył z kieszeni nóż, odpruł nim brzeg podszewki płaszcza i wyjął kawałek zmiętoszonego papieru, mówiąc:

— Przychodzę zatem z polecenia wachmistrza i przynoszę wam jego ostatnie słowo. Napisał je przy mnie, podczas tej półgodziny, jaką mu Niemczury dali. I powiada: „Przyjacielu Coquard, jeżeli ci się lepiej powiedzie, niż mnie, i wyrwiesz się kiedy z tego piekła, postaraj się zajść do moich starych i oddaj im to". A że się powiodło, więc obróciłem tak drogę, aby spełnić ostatnią wolę mego kamrata. I oto jestem.

Wręczył świstek pani Lormeau, która okryła go pocałunkami, zanosząc się od płaczu. Ponieważ nie była w stanie czytać, podała tę kartkę mężowi, a ten rozwinął ją drżącemi palcami, popatrzył chwilę i rzekł:

— Pismo jego... ale dlaczego takie rude?

— A bo — wytłómaczył Coquard — nie było czem pisać: ani pióra, ani atramentu... Więc wachmistrz odłupał drzazgę ze ściany i napisał krwią, co mu płynęła zewsząd... Wierzajcie mi, państwo, że było jej więcej, niż atramentu w kałamarzu.

Ręce starego Lormeau poczęły się trząść. Łzy przesłoniły mu oczy. Podał z kolei kartkę Julince. Ta przeżegnała się i odczytała urywanym głosem:

„Moja ostatnia myśl jest dla moich rodziców, których tak kochałem. Moja ostatnia łza jest dla Julinki, którą tak byłbym pragnął kochać. Moje ostatnie uderzenie serca jest dla kraju, który tak chciałem widzieć zwycięzcą. Umieram z nadzieją, że będzie znów wolnym i francuskim. Żegnajcie. Piotr".

Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia, przerywanego jedynie rozpaczliwem łkaniem pani Lormeau. Wreszcie Jalinka przycisnęła do ust krwawe pismo i rzekła głucho:

— Piotrze, będziesz pomszczonym!

A stary Lormeau, którego siwa broda przestała się nagle trząść, zbliżył się do niej, podniósł ręce nad jej czołem, jakgdyby błogosławiąc ją, i rzekł:

— Idź, Julinko, idź, moje dziecko. Boże ci dopomóż.

Zbieg przypatrywał się temu z zadowoleniem. Gdy usłyszał Julinkę, mówiącą o zemście, oko mu zabłysło w zarośniętej twarzy. Przystąpił także do Julinki i rzekł:

— Panienka chcesz go pomścić; to bardzo zacnie z twojej strony. Ja ci także powiadam: idź. Staraj się upuścić krwi któremu. A jak ci się nawinie oficer, nie chyb go; to największe gałgany ze wszystkich.

— To będzie oficer! — odpowiedziała Julinka.

— Brawo! Pozwól się panienka pocałować. To mi przyniesie szczęście.

Obtarł usta rękawem i wycisnął na policzku Julinki siarczysty pocałunek. Następnie podał rękę panu Lormeau, popatrzył smutno, kiwając głową, na klęczącą wciąż matkę nieszczęsnego Piotra i kierował się ku wyjściu, gdy szklane, tarasowe drzwi, wyparte z zewnątrz, runęły z trzaskiem na podłogę i kilkunastu policjantów z pistoletami w garści wpadło do pokoju.

Huknął strzał... strzał z rewolweru Julinki, potem parę innych i rozległ się skrzeczący głos Kleina:

— *Darauf los... Alles festgreifen!*

Dwóch innych policjantów wtargnęło do mego pokoju z latarkami w rękach w chwili, gdy zdążyłem odskoczyć od ściany.

— Za przeproszeniem pańskiem... *Herr Oberleutnant*. Czy te drugie drzwi prowadzą wgłąb domu?

— *Ja! ja!* — wybełkotałem, czując, że mi się w głowie mąci.

I podczas, gdy niknęli w otwartych drzwiach, uciekłem, sam nie wiedząc, co czynię.

Na tarasie potknąłem się o jakieś ciało. Był to jeden z ludzi Kleina, trafiony widocznie kulą Julinki. To mnie do reszty oszołomiło. Biegłem przed siebie, jak szalony, i w pewnej chwili znalazłem się na gościńcu Verduńskim, zapchanym furgonami, toczącemi się zwolna ku południowi. Na furgonach tych piętrzyły się skrzynie, worki, toboły różne, na których spali stłoczeni ze sobą ludzie. Turkot kół i brzęk żelastwa mięszał się z dalekiem warczeniem kanonady.

Skręciłem znów na pola i błąkałem się po nich aż do świtu.

Gdy się rozwidniło, poznałem, że jestem w okolicach Vilosnes i zwolna zawróciłem w stronę Dun.

Czwarta biła na zegarze merostwa, kiedy znalazłem się przed domem państwa Lormeau. Straże pilnowały dostępu, ale ja, oczywiście, wszedłem. Cisza panowała głęboka. Nie było nikogo. Drzwi wszędzie stały otworem; pokoje w największym nieładzie, meble połamane, zamki poodbijane; wszystko było poprzewracane, splądrowane. Nie oszczędzono nawet mego pokoju. Pościel była rozrzucona, szuflady pootwierane, książki walały się po podłodze.

Znajdowałem się w jakimś dziwnym stanie. Byłbym chciał krzyczeć, płakać, ale gardło miałem, jak zasznurowane. Trzeba jednak było wracać do Damillers, po tej straszliwej nocy. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na to spustoszone wnętrze, w którem tyle przeżyłem wrażeń, i schyliwszy się, podniosłem i zabrałem, jako jedyną pamiątkę, tom Racine'a, zawierający tragedję *Ifigenja*.

. . . . . .

Nie mogłem wytrzymać długo w niepewności i trwodze, jaką mnie napełniał los Julinki. Wróciłem w kilka dni potem do Dun, aby z jaknajwiększą ostrożnością zasięgnąć języka, nie zdradzając się zbyt wielkiem zainteresowaniem, by nie obudzić podejrzeń. I tak powinienem się był mienić szczęśliwym, że nie wmięszano mnie w tę sprawę, tak bardzo poważną, boć chodziło ni mniej, ni więcej, tylko o zamach na życie Jego Cesarskiej Wysokości.

Dom zastałem zamknięty i pusty. W komendanturze nie wiedziano nic, lub nic nie chciano powiedzieć. Jedynie porucznik policji Morel potwierdził mi zaaresztowanie trzech osób, które zamieszkiwały dom.

— Jeżeli pan chcesz dowiedzieć się czegoś więcej — rzekł mi — zwróć się pan do inspektora Kleina, lub do dyrektora tajnej policji, majora Bauera.

To było wszystko, co usłyszałem w Dun. Trzeba było jechać do Stenay.

Coś mnie odpychało od zwrócenia się do Kleina. Miałem wstręt do tego odpychającego osobnika, jak do djabła. On jeden wszelako musiał wiedzieć prawdę, on i jeszcze ktoś. Ktoś, komu zależało na tem, aby się o wszystkiem szczegółowo poinformować, i kogo zapytać było mniej ryzykownem, niż tego podłego inspektora policji. Tym kimś był Kronprintz.

Co powiedział w ów pamiętny wieczór, kiedy napróżno oczekiwał Julinki w Château des Tolleuls? Jak się musiał niecierpliwić, jaka wściekłość go ogarnęła, skoro nudy oczekiwania spełzły na niczem? Z pewnością poruszył cały swój personel. Już tej samej nocy doniesiono mu zapewne o wszystkiem. Dumny ze swego czynu, Klein osobiście musiał się pochwalić swą zręcznością, czujnością i przenikliwością i upomnieć się o zaszczt uratowania życia Kronprintzowi. To było pewnem. A wtedy może sam Kronprintz wejrzał w tę sprawę i wydał jakieś rozporządzenie.

Od dwóch tygodni żyłem w tej okrutnej niepewności, gdy major Wetzell, szef sztabu generała von Lochow wysłał mnie do Stenay z ważnemi dokumentami.

Było to pierwszego lipca, gdy wszedłem do własnego gabinetu generała Schmidta von Knobelsdorf.

Generał wydawał się zafrasowanym. Przejrzał dokumenty, jakie mu wręczyłem, i zadawszy mi kilka pytań, tyczących się tego, co się działo w Damvilliers, rzekł:

— Czy pan zostajesz na noc w Stenay?

— Jestem na rozkazy Waszej Ekscelencji.

— Zostań pan do jutra. Dam panu pewne papiery. Przyjdź do mnie jutro rano o dziesiątej.

— Wedle rozkazu Waszej Ekscelencji.

Trzasnąłem piętami i miałem już się żegnać, gdy Kronprintz wszedł swobodnie do gabinetu, fertyczny, w wysokich butach, ze szpicrutą pod pachą wraz z dwoma chartami.

— Nic nowego, generale? — zapytał.

— Nic nowego, Wasza Cesarska Wysokość — odpowiedział generał Schmidt von Knobelsdorf.

W tej chwili Kronprintz spostrzegł mnie.

— Co widzę! Hering! — zawołał radośnie, zbliżając się do mnie z wyciągniętą ręką. — Jak się masz, mój drogi? Przyjemnie mi, że cię widzę.

Poczem ujął mnie pod ramię i pociągnął do sąsiedniej sali.

— Spodziewam się, że nie masz do mnie żalu, mój drogi... Uważasz, możesz wracać do Stenay, kiedy zechcesz. Powiedz tylko słowo...

Dalszy ciąg nastąpi.

NOWE KSIĄŻKI.

BATUALA.

Ukazanie się premiowanej powieści p. Réné Maran p. t. „Batuala“ w przekładzie polskim jest rekordowe co do czasu. Dopiero przecież rok temu akademia Goncourt'ow nagrodziła tę murzyńską apologię rasy czarnej, a już p. Jan Parandowski rzucił na rynek księgarski polski przekład i napisał soczysty wstęp, charakteryzujący tak pisarza, jego dzieło, jak i kwestję stosunku Francji do czarnych swoich obywateli. „Batuala“ oczywiście posiada oryginalny koloryt w swojej fabule. Obyczajowo odsłania nieznany, pierwotny świat namiętności. Pisał ją murzyn, wychowany w szkołach francuskich. Obecnie jest on urzędnikiem kolonjalnym. Przed ogłoszeniem drukiem tej powieści wydał kilka zbiorków wierszy. Nie wyróżniały się niczem niezwykłem. „Batuala“ dała mu dopiero sławę.

Przeciętnego czytelnika zainteresuje żywioł seksualny, zawarty w tej powieści. Pod względem obyczajowym jest rzeczywiście interesujący. Nie należy się jednak na tem zatrzymywać Książka ta posiada kilka pięknych opisów. Do takich należy ostatnie polowanie, w którym „Batuala“ traci swój żywot. Pozatem socjalne, publicystyczne motywy są godne podkreślenia. P. Réné Maran broni bowiem braci swoich murzynów bardzo wymownie, Mówi on wśród wydarzeń swojej powieści:

„Nie było ani bundu, ani mandżja, ani białych, ani czarnych. Byli tylko ludzie. I wszyscy ludzie byli braćmi. Nie trzeba było ani kraść ani bić się ze swoim sąsiadem. A czyż nie zmuszają czarnych, aby brali udział w dzikich wybrykach białych, żeby dawali się za nich zabijać, tam w dalekich walkach. A kto się wzbrania, uwiążą mu sznur u szyi i wtrącą do więzienia!“

Oskarżenie, zawarte w tych słowach, jest charakterystyczne. Świadczy ono, że i wśród murzynów zaczyna budzić się własna świadomość plemienna. „Batuala“ jako objaw tej właśnie świadomości może być niezwykłą zupełnie książką. Trzeba przecież pamiętać, iż ruch ten wśród murzynów amerykańskich jest poważny.

Ciekawe jest również, iż powieść tę w polskim przekładzie drukowano w zakładach graficznych H. Neumana we Włocławku. Na okładce zaznaczono jednak, iż książka ta powstała nakładem firmy „Lector-Rumania“ Bukarest r. 1923.

Wszystkie te wiadomości są pouczające. Okazuje się, iż konwencja berneńska w sprawach literackich, artystycznych nie obowiązuje widocznie Rumunji. Polscy wydawcy w ten sposób ratują się od klauzul, które podpisaliśmy, jako państwo, zbyt pośpiesznie i bez należytego przygotowania.

DLACZEGO NIE OGŁOSIŁEM KSIĄŻKI O POLSCE.

P. Pierre La Mazière napisał zwierzenia swoje, w których spowiada się „Dlaczego nie ogłosiłem książki o Polsce“. Pan La Mazière jest cenionym publicystą francuskim, pisującym w „Temps“. Opinja jego musi być brana zawsze pod uwagę, gdyż wypowiada ją człowiek, który informuje przez łamy jednego z najpoczytniejszych i najpoważniejszych dzienników francuskich. P. La Mazière był w Polsce jako korespondent. Chciał służyć i naszej sprawie w miarę sił swoich. W Warszawie utrudniano mu pracę na każdym kroku. Nie otrzymywał potrzebnych informacji. Widział dyletantyzm lub zgoła ignorancję. Złą wolę podkreśla on przytem, jako zjawisko, wyrosłe z partyjnictwa za wszelką cenę. Odnosi się to specjalnie do stronnictwa, które zwalczało i zwalcza Naczelnika Państwa. P. La Mazière zapewniali bowiem poważni działacze z tego obozu, że J. Piłsudski podczas inwazji bolszewickiej był w porozumieniu z Moskwą. Tragiczny nonsens tego głupstwa krążył wtedy po Warszawie, jako zła plotka i był kolportowany przez poważnych ludzi.

W polskim przekładzie wydała obecnie „Epoka“ całkowity tekst pracy tego publicysty. Czyta się z przykrością. Nieprzyjemnie jest przecież słuchać elementarnych prawd z ust cudzoziemca. Któż z nas nie wie, iż „należy obawiać się powtórzeń w historji“. P. La Mazière woła do nas:

„Każcie zamilknąć wzajem żalom. Zapomnijcie waszą dzielnicowość, zapomnijcie o stronnictwach, do których należycie, ale pamiętajcie o jednem tylko, iż jesteście Polakami“.

Smutna refleksja rodzi się przy czytaniu takiego elementarnego moralitetu. A jednak zasłużyły nań pewne stronnictwa i grupy ludzi. Walczyli insynuacją za wszelką cenę. A jaki rezultat?... Przykra broszura p. La Mazière, którą i przyszłość czytać będzie z rumieńcem na twarzy.

„DZWONKI“.

Pod tytułem „Dzwonki“ księgarnia p. J. Lisowskiej wydała dwa pokaźne zeszyty piosenek i nut, zawierających zabawy dla dzieci z muzyką, marsze, deklamacje chóralne i obrazki sceniczne. Prozę opracowała znana na polu pedagogji p. J. Chrząszczewska, wiersze dała p. J. Porazińska, dawna redaktorka „Przyjaciela dzieci“, a muzykę skomponował p. W. Siewierski. Wydawnictwu temu należy szczerze winszować. Wychowawcy mają wielkie kłopoty, jeżeli chodzi o wynalezienie odpowiednich gier i zabaw dla dzieci. Tak nizko przytem pod względem artystycznym i wychowawczym stoją dotychczasowe usiłowania. Pp. Chrząszczewskiej i Porazińskiej udało się w piosenkach tych dać utwory łatwe o wyższym poziomie pod względem artystycznym. Wdzięczna muzyka p. Siewierskiego, posługując się rytmami łatwemi, wyrazistemi i układem przejrzystym, sprzyja bardzo do rozwinięcia w dziecku poczucia melodji i muzykalności.

WYBÓR POEZJI WŁ. SYROKOMLI.

Wiersze Wł. Syrokomli swojego czasu były najpopularniejszą lekturą wśród szerokich kół naszego społeczeństwa. Poszczególne jego utwory i dziś jeszcze zachowały świeżość i wdzięk. Nie czyta ich jednak już z wzruszeniem i ciekawością ogół, A szkoda, gdyż posiadają w sobie wiele pedagogicznych pierwiastków. Łatwo pobudzają naszą uczuciowość, łatwo trafiają do rasowych naszych instynktów. Stare wydania wierszy Wł. Syrokomli są zupełnie wyczerpane. Dla celów szkolnych od czasu do czasu ukazują się na półkach księgarskich poszczególne utwory. Dopiero teraz zrobiono jednak „Wybór poezji“ pieśniacza „Hymnu do Najświętszej Panny w Ostrej Bramie“. Wydanie to powinno wzbudzić znów zainteresowanie do pieśni lirnika litewskiego. Wybór ten opracował prof. dr. Franciszek Bielak. Dał w nim wszystkie najcelniejsze utwory, choć nie ogarniają one właściwie wszystkich rodzajów twórczości Kondratowicza. Utwory te dobrze jednak pobudzają, inspirują, by sięgnąć i po dalsze dzieła Syrokomli. Serdeczność inwencji tego pisarza zniewala. Jego odczucia przyrody są świeże i tchną krasą majowego poranku.

Wybór ten składa się z liryk, gawęd, przekładów oraz powieści poetyckich, jak „Urodzony Jan Dęboróg“, „Szkolne czasy“, „Kęs chleba“ oraz „Janko cmentarnik“. Niektóre z gawęd, jak „Kradzione“, „Kapral Terefera“ i „Kapitan Szerpetyna“ swojego czasu były tak popularne, że cytowane je, jak przysłowie, jak powszechnie znaną anegdotę. Popularność ta nie jest wcale dziwna, gdyż gawędy te swoją łatwością i zręcznością trafiają do przekonania każdemu człowiekowi, posiadającemu w swojej tradycji polskości. Są one nawet w swojej słabości głosem naszej rasy.

Wiersz jak „Co to jest Ojczyzna“ i dziś jeszcze może służyć dla ogółu szerokiego, jako definicja poetycka uczucia, którem przepojone jest to pojęcie i przez które krzepnie nasza wola i swiadomość.

Przekłady Syrokomli są również udatne. Szczególnie Bèrangera „Stary Kapral“ zadawala.

„Wybór Poezji“ Władysława Syrokomli prof. Bielak poprzedził treściwym wstępem. Wstęp ten dla współczesnego czytelnika jest bardzo cennym przewodnikiem, wtajemniczającym w psychologję, ideologję i wydarzenia czasów, w które tworzył Syrokomla, co daje należytą perspektywę do zrozumienia zasługi tego poety z Bożej łaski. Wydanie tego „Wyboru Poezji“ należy powitać z uznaniem. Szkoły średnie mogą z edycji tej również korzystać, gdyż prof. Bielak w dopisach wyjaśnia wszystkie mniej zrozumiałe słowa, zwroty lub pojęcia.

W SZKOLE I W DOMU.

Kwestja czytanek pozaszkolnych dla dzieci jak bardzo ważnem zagadnieniem pedagogicznem. Każdy z nauczycieli sprawę tę załatwia w swoisty sposób: wypisy bowiem nie zadawalniają ciekawości młodych czytelników. Wśród młodzieży krzewi się przeto chwast beletrystyki zakazanej pod względem formy, jak i treści. Sensacyjność pociąga młodociane umysły. Jak zwalczyć tego rodzaju pociąg do brukowej książczyny? Trzeba żeby pedagog wszczepił miłość do utworów wartościowych „Starannie dobrana literatura szkolna, wspólne czytanie w klasie pięknych i ciekawych książek, wspólne przeżywanie wrażeń, dadzą młodemu czytelnikowi poznać rozkosz czytania, przyzwyczajają go stopniowo do pewnej skali wymagań, odciągną go od sensacyjnych książek o zbójcach, złodziejach, Indjanach, książek, do których uciekał od nudy szkolnych wypisów“. Z tej racji wydawnictwo „W szkole i w domu“ skonstruowało specjalną biblioteczkę, służący temu celowi. Na razie wydano pięć książeczek: „Wakacje“, „Bociany“, „Szkoła“, „Kiedym“ oraz „O szarej godzinie“. Trudniejsze słowa i zwroty mowy naszej wyjaśnia specjalny słowniczek, dodany do każdej książeczki. System pracy pedagoga wykłada dobrze napisany i mądrze przemyślany wstęp, ukazujący dodatniość tej metody. Redaktorkami tej biblioteczki są pp. J. Mortkowiczowa i S. Sempołowska. Autorki te znane są jako zasłużone działaczki na polu pedagogji.